

## MEANDRY POLITYKI - *Michał Stefański* (wyemitowane 24 marca 2019 - [postuchaj](#))

### BEZ BIAŁYCH RĘKAWICZEK

Jeszcze w całkiem niedawnych czasach spora część rodziców małych Amerykanów stawiała swoim pociechom za wzór prezydenta w odległym Białym Domu, czuwającego nad losami obywateli, a jednocześnie będącego dla nich wzorem moralnego zachowania. Wystarczy zapoznać się z niektórymi wypowiedziami obecnego przywódcy Stanów Zjednoczonych aby dojść do wniosku, że tamte czasy już minęły. Obecne bezceremonialne "rąbanie prosto z mostu" stało się dla wielu polityków równouprawnionym sposobem komunikacji z oczekującymi sensacji wyborcami. Wychowywani z jednej strony przez łatwą telewizyjną rozrywkę, a z drugiej strony przez internetowych manipulatorów, nasi słuchacze, sąsiedzi i znajomi są z każdym rokiem coraz mniej obywatelami, a coraz bardziej konsumentami gotowego produktu. W Stanach widać jak bardzo wymagania wobec prezydenta zmały. W ostatnich latach zwykli ludzie dali wielokrotnie do poznania, że rządzący mogą się zachowywać jak bracia Soprano, Archie Bunker lub Kiepcy z polskiego serialu i wszystko będzie im wybaczone w zamian za wzrost liczby miejsc słabo płatnej pracy lub nieduży pakiet świadczeń - jakieś 500+ lub trzynastą emeryturę. Zresztą, stało się jasne, że po ostatnich wyczynach słowno-twitowych Donalda Trumpa pastwiącego się nad nieżyjącym od 7 miesięcy senatorem McCainem, nic i nikt nie prześcignie w chamstwie głównego lokatora Białego Domu. Na tle Donalda Trumpa nawet najostrzejsi politycy PiS-u jakby wyszlachetnili - może na krótko, ale jednak zauważalnie.

Tym niemniej nad polską polityką wciąż unosi się od dawna proroctwo innego pra-populisty obsadzonego w roli burzyciela konwenansów w świecie (a może półświatku) polityki. Chodzi tu o Andrzeja Leppera, który w okolicy roku 2000 z trybuny sejmowej nie zawahał się zawołać: "Wersalu wam się zachciało? Nie będziecie mieli Wersalu!" I rzeczywiście tak się stało. Te słowa wykrzywane w Sejmie dwadzieścia lat temu opisywały nie tylko ówczesną polską rzeczywistość, ale też były przepowiednią ewolucji polityki w kierunku bezwzględnej walki na śmierć i życie. Kilka lat wcześniej, w komunizmie - nawet tym kulawym znad Wisły - tylko partia rządząca - PZPR miała monopol na interpretację rzeczywistości. W pierwszej dekadzie III Rzeczypospolitej każda ze stron polskiego sporu uzyskała niezwykłe prawo do swojej interpretacji tysięcy faktów. Aktualnie zaś wolność przeszła w fazę szaleństwa; każdy obywatel rości sobie prawo do swoich własnych faktów - inaczej, do swojej własnej prawdy równoległej. (!!!) Wystarczy zajrzeć do popularnych tygodników. Jedną Polskę opisuje "Do Rzeczy", a zupełnie inną "Newsweek". Brać, wybrać - co kto lubi i co komu przypada do gustu. A w internecie tych "prawd" jest na kopy. Trudno powiedzieć, czy o takiej wolności myślał w roku 1980 skacząc przez stoczniowy płot Jarosław Kaczyński ....(pardon - chyba raczej ktoś inny). Wydaje się, że miliony obywateli chodzą sobie po bożym świecie, każdy z niewidzialną, dość szczelną banią informacyjną zamontowaną na głowie. Sięgnijmy trochę pamięcią w przeszłość. Na początku owego rozłamu poznawczego jeszcze nie działały filtry ideologiczne i istniała pewna ciekawość - prawie jak u mieszkających po sąsiedzku Kargula czy Pawlaka - co też tam się wyrabia po drugiej stronie płotu, u mojego ulubionego wroga. Jednakowoż teraz zdarza się nam odwiedzać znajomych lub przyjaciół, którzy za punkt honoru stawiają sobie bycie (jak to się mówi) "niezłomnym". Dla nich, wypominanie błędów logicznych, bądź też bezsensownego zaciętrzewienia w swoim własnym obozie, równa się zdradzie.

Jednakowo - czy chodzi tu o fanatyczne feministki z ruchu #Me-too, czy np. o anty-szczepionkowców. Ci ludzie za punkt honoru stawiają sobie nie zagładanie za pŁot do swojego przeciwnika. Dlaczego? W kraju tradycyjnie katolickim odpowiedź jest jasna. Bo mogą zwątpić, no i stracić wiarę. I tak to niepostrzeżenie - z polityki, sztuki rozwiązywania praktycznych kwestii stojących na drodze ku władzy zrobiła się jakaś religia (a może nawet sekta). Ta sama zresztą przypadłość - choć chyba z mniejszą intensywnością - dotyka środowiska liberalne i lewicowe. Nie chcę krakać, ale przypomina mi to sytuację konfliktu społecznego w Hiszpanii kilka lat przed wybuchem wojny domowej. Na szczęście, współczesna Polska ma więcej szans na załagodzenie konfliktu z dwóch powodów. Po pierwsze - ostatnio (m.in dzięki partii rządzącej) zmniejszyły się "zakłęte rewiry" biedy i wykluczenia. Po drugie - przynależność do Unii Europejskiej wydaje się jak na razie temperować lokalne prowadzące do wojen "sny o wielkości" - wszystko jedno, węgierskiej, włoskiej czy polskiej.

Niekiedy, patrząc - a czasem doświadczając na własnej skórze dynamiki dziejących się wydarzeń - trudno jest powiedzieć, co jest skutkiem, a co przyczyną. Mamy raz jeszcze dylemat - co było wcześniej - kura czy jajko? Czy to nacjonalistyczni wyborcy pchają do przodu nowe elity populistyczne każdego z krajów cierpiących na niezaspokojoną manię wielkości? A może jest odwrotnie - może to przywódcy alternatywnej prawicy nadają tempo i manipulują biernymi masami licząc na sukces taktyki "rąbania prawdy prosto w oczy"? W każdym razie - w obu przypadkach mamy do czynienia z bezwzględną grą na ludzkich emocjach. Przed dwudziestoma laty pewien znany polityk wygłosił opinię, że prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym jak zaczyna. lecz jak kończy. Czyżby dotyczyło to także aktualnych mężów opatrnościowych narodu - nie tylko polskiego?